

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GALIC. TOWARZ. ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

SEWERYN KROGULSKI

Międzynarodowy kongres myśliwski w Wiedniu.

Imponująca wystawa łowiecka jubileuszowa w Wiedniu, która naocznie i datami statystycznemi udowodniła, jak wysoką wartość, poza urokiem łowów jako rycerskiej rozrywki, posiada myśliwstwo także pod względem ekonomicznym i przemysłowym, dała inicjatywę ekonomistom, przemysłowcom i myśliwym całego świata do poważnego zastanowienia się nad sposobami prawidłowego rozwoju tego niedocenionego dotychczas, źródła bogactwa, jakiem jest łowiectwo i postawienia go na wyżynach prawdziwej gałęzi kultury. Za przykładem więc I. kongresu łowieckiego, który w r. 1907. zwołał „Saint Hubert Club de France“ w Paryżu, zebrał się II. międzynarodowy kongres myśliwski w naddunajskiej stolicy, aby sprawy dotyczące całej istoty myśliwstwa omówić przy jak najliczniejszem audytorjum.

I jakkolwiek każdy kongres ma wartość zazwyczaj dość wątpliwą, tworząc bowiem zbiorowiska bardzo zróżniczkowane, staje się niemal z konieczności ogniskiem, w którem ścierają się zbyt sprzeczne opinje i indywidualności, aby właściwemu zadaniu obrad na dobre to wyjść mogło, to jednak wiedeński kongres łowiecki był chlubnym wyjątkiem i zdziałał bardzo wiele. Jednocząc bowiem ludzi ożywionych jedną myślą, wszystkim wspólną, pomimo naturalnego podziału myśliwstwa wedle różnic geograficznych, klimatycznych, uniknął tem samem wszelkiej rozbieżności, która zwykle powoduje bezpłodność prac kongresowych.

Jeśli zaś w obradach kongresu łowieckiego wzięły udział także i najwybitniejsze umysły współczesnych mężów stanu, profesorów, ekonomistów, przemysłowców i kup-

ców, to dowód, że łowiectwa niepodobna traktować dziś z zaściankowego punktu widzenia, z racji partyjnych waśni, jak w Galicji, że nie można upatrywać w niem wyłącznie zabawki, lub sportu możnych; objaw bowiem sięgający w tak głębokie podłoża życia społecznego, wiążący się z całą masą zagadnień ekonomicznych i socjalnych, ani za jedno ani za drugie stanowczo uchodzić nie może i nie powinien.

Organizacja kongresu i kierownictwo obrad spoczywało w rękach ludzi wytrawnych i w pomienionych gałęziach szczytnie zapisanych. Protektorat objął arc. Fryderyk, przewodniczyli zaś w obradach bądź ministrowie, bądź kierownicy ministerstw rolnictwa i handlu austryjackiego i francuskiego.

Prezydentami honorowymi kongresu byli: Józef Pop, i Józef Ruau. I. wiceprezydentem: wielki łowczy koronny Maksymiljan hr. Thun-Hohenstein, drugim zaś radca dworu Antoni Wiltsch.

Generalnym komisarzem i duszą całego kongresu był radca dworu w ministerstwie rolnictwa, profesor Ferdynand Wang, a jego zastępcą radca leśnictwa Dr. Adolf Stengel. Do wydziału kongresu, w charakterze członków, weszli nadto były szef sekcji w min. roln. Dr. Ludwik Dimitz, dyrektor domen i lasów rządowych Eugienjusz Guzmann, Dr. Henryk bar. Hardtl, b. minister oświaty Dr. Gustaw Marchet, kierownik polowań dworskich Teodor Miklitz i hr. Wilhelm Wurmbrand-Stuppach.

Prace kongresu podzielone były na trzy sekcje, z których każda była osobnem ciałem obradującem, i obejmowały następujące punkty obrad:

Znaczenie łowiectwa w gospodarstwie krajowem; statystyka łowiectwa; plombowanie zwierzyny; handel futrami i skórami; międzynarodowe biuro wywiadowcze w sprawie polowań; dziczyzna jako środek spożywczy; ujednostajnienie kalibrów broni myśliwskiej, gatunków prochu, łusek nabojowych i śrutu; choroby zakaźne u zwierzyny; aklimatyzacja muflonów; myśliwstwo doświadczalne; międzynarodowa ochrona ptactwa przelotnego; ochrona niejadalnych ptaków morskich; ubezpieczenie prywatnego personalu myśliwskiego; prawo łowieckie i ochrona pomników natury.

Łatwo pojąć, że wszystkie te punkty nastręczały mnogo materjału, z którego też wygłaszano po kilka referatów, kończących się odpowiedniemi rezolucjami. Omówienie ich wszystkich w łamach „Łowca", w formie najskromniejszych choćby notatek, zajęłoby zbyt wiele miejsca. Ograniczyć się więc muszę do spełnienia obowiązku sprawozdawcy, biorącego czynny udział w obradach kongresu i podać to tylko, co nas najżywiej zajmuje i dotyczy, opuszczając z konieczności wiele bardzo rzeczy ciekawych i godnych uwagi, atoli luźniej z naszem łowiectwem związanych.

Idąc w porządku numerycznym, pierwszym jest referat Madelin'a, z Paryża, który w niedługiem przemówieniu wykazuje, jak znaczny ruch pieniężny wywołuje łowiectwo i gałęzie przemysłu z niem związane i na podstawie dokładnych danych konkluduje, że kapitał, którym obraca łowiectwo w samej tylko Francji, sięga pokaźnej cyfry 300.000.000 franków!

Prof. Dr. G. Rörig, znany jako znakomity przyrodnik i autor dzieł myśliwskich, omawia znaczenie łowiectwa ze stanowiska naukowego i wykazuje, że prawidłowe wykonywanie łowiectwa bez ścisłej wiedzy fachowej jest niemożliwe, a wypadki, w których tak się dzieje są niestety zbyt często godne ubolewania, stąd też stawia rezolucję:

„Wobec wysokiej wartości ekonomicznej łowiectwa, którego utrzymanie i dalszy rozwój leży w interesie każdego kulturalnego państwa, uznaje II. międzynarodowy kongres łowiecki pilną potrzebę stworzenia instytucji naukowej wiadomości łowieckich. Kongres zwraca się do rządów państw tutaj reprezentowanych z prośbą, by tego rodzaju instytucje zakładały, dając w ten sposób łowiectwu podstawy naukowe, jakich niezbędnie potrzebuje do swego dalszego pomyślnego rozwoju."

Statystyką łowiecką zajmował się szczególniej Dr. Forcher z Wiednia i Lessé z Paryża. W swoich badaniach dąży on głównie do tego, aby obalić błędne, a niestety mocno zakorzenione przekonanie, Bóg wie skąd urosłe i na jakich podstawach ugruntowane, iż łowiectwo jest bezużyteczne i niepotrzebne. Jego rezolucja domaga się też, aby władze państwowe wobec niedoceniania łowiectwa, ustalały daty dotyczące wszystkich gałęzi ekonomicznych pokrewnych łowiectwu, one bowiem najlepiej jego wartość mogą określić.

O znaczeniu handlu futrami i skórami, dostarczanemi przez zawodowych, a w części i amatorów-myśliwych, mówili Maksymiljan i Emil Hartwich, reprezentanci poważnej firmy kupieckiej. W tonie ich przemówienia przebijała szczera troska o zachowanie pewnych gatunków zwierząt, którym dobroć ich futra, a częściej jeszcze moda, wypowiada zawziętą i nieubłaganą walkę. Jej smutny wynik da się z największą pewnością przewidzieć, to też Hartwichowie domagają się, aby wydano zakaz łowienia i ubijania zwierzyny wszędzie tam, gdzie grozi jej zupełne wyniszczenie. Powołując się wreszcie na przykład Alaski, w której rząd Stanów Zjednoczonych ostro zabronił wywozu wszelkich użytecznych części zwierzyny, pragnie, aby i inne państwa poszły za tym — godnym naśladowania — przykładem.

W tym samym przedmiocie przemawiał Dr. Knauer, który w swoich rezolucjach idzie jednakże znacznie dalej; celem bowiem ochrony zwierząt dostarczających futer, domaga się:

1) aby rządy państw dążyły do jak najdalej idącego upodobnienia swych ustaw łowieckich, co uniemożliwi bezwzględną ochronę zwierząt w jednem miejscu, a bezwzględne jej tępienie w innem;

2) ażeby ustawy te wystąpiły z całą surowością przeciw bezmyślnej i bezplanowej strzelaninie, ptasznikom, niszczycielom gniazd, wnykarzom i wszystkim skrytym wrogom zwierzyny;

3) by wszędzie, od najwcześniejszych lat nauki szkolnej propagowano ochronę i opiekę nad zwierzętami; dziś bowiem szerokie koła ludności odnoszą się do tej sprawy bądź apatycznie, bądź bez należytego zrozumienia jej doniosłości;

4) iżby niebezpieczeństwo wytępienia, grożące szczególniej poszukiwanym zwierzętom, uchylić w podobny sposób, jak stało się to z afrykańskim strusiem, przez urządzenie sztucznych stacji hodowlanych; (dziś hodują żebrę, niebieskie lisy, aligatory, jadalne żółwie, itp.); hodowla czapli szlachetnej tak bardzo tępionej, dałaby się z łatwością zastosować. Zdolności człowieka w kierunku, o którym mowa, święciły już takie tryumfy, że z wszelką pewnością można się spodziewać wyników znakomitych.

5) aby niedorzeczności mody zwalczać na każdym kroku. (Nie sięgając daleko, wspomnieć należy, że jak podaje »*Société pour la protection*« w Paryżu, moda kogucia, która nastała po Chantecler'ze, pociągnęła 30.000.000 ofiar!)

Przechodząc z „pięknego w pożyteczne“, przytaczam rezolucje przemówienia pani Marji Stern, która podtrzymując sztandar świetnych tradycji o większym zmyśle praktycznym u płci pięknej niż brzydkiej, stwierdza Goethowskie „das ewig weibliche“, sprowadzając całe łowiectwo do zagadnienia bardziej kuchennej natury. Mówiła bowiem o zużytkowaniu dziczyzny jako środka odżywczego.

Pragnie zatem:

1) objaśniać szerokie masy ludności o dziczyźnie i jej znaczeniu przez propagandę w prasie i przy wszelkich sposobnościach;

2) stworzyć hurtownych odbiorców zwierzyny dla konsumentów;

3) założyć składy i chłodnie celem zamrażania dziczyzny;

4) uprościć i ułatwić przewóz kolejowy dziczyzny przez zniżenie taryfy przesyłkowej;

5) stworzyć drobną sprzedaż zwierzyny na straganach i w halach targowych, pozostającą pod kontrolą ustaw targowych, a zasilanych przez drobnych myśliwych;

6) uprościć kontrolę nad sprzedażą zwierzyny w kierunku badania czasu ochronnego w sposób, któryby nie trudził konsumentów.

Referat pani Stern, zakończył obrady sekcji I.

Podawszy jego rezolucje, przystępuję do omówienia działalności sekcji II., której pierwszy punkt stanowiła kwestja powszechnego ujednostajnienia kalibru prochu, łusek nabojowych i śrutu.

Na temat ten, niezmiernie ważny i aktualny wobec rozwielmożnienia się źle pojętej „specjalizacji“, pociągające często bardzo niemiłe dla myśliwego niespodzianki, przemawiało trzech prelegentów: Journée, generał-brygadjer armji francuskiej, Gustaw Springer, znany rusznikarz w Wiedniu i Emanuel Weibel, inspektor lasów z Weidhofen nad Tają.

Pierwszy z nich utyskuje głównie na fabryki francuskie, które wprowadziły skale w wyrobie śrutu niczem nieuzasadnione i w numeracji na niczem nie oparte, tak dalece, że można nabywać śrut pod tym samym numerem najrozmaitszej grubości i ciężaru, zależnie od tego, z której pochodzi fabryki. Nie wymieniwszy więc przy zakupnie fabryki, doznaje się często niemiłego zawodu!

O Anglji można powiedzieć to samo, z tym jeszcze niekorzystnym dodatkiem, że ciężar i grubość śrutu nie rośnie proporcjonalnie z numerem, to znaczy, że śrut nr. 6 np. nie jest bynajmniej ani dwa razy mniejszy ani dwa razy większy od śrutu nr. 12. Za skalę najlepszą, bo opartą na układzie metrycznym, uważa Journée niemiecką, która ma jeszcze i tę dobrą stronę, że skala ta jest bardzo rozległa, rośnie bowiem z każdym numerem o 0·25 mm., a zatem uwzględnia bardzo dokładnie te małe różnice, jakie w strzale do różnej zwierzyny grają pewną rolę. Kończąc swe przemówienie, bardzo zresztą krótkie, Journée domaga się:

1. przyjąć powszechnie skalę, obowiązującą w Niemczech;

2. na woreczkach, w których śrut sprzedają zamieszczać napis, uwidoczniający:

a) numer śrutu;

b) przeciętną średnicę ziarn w milimetrach;

c) jakość: czy śrut jest miękki czy twardy;

d) przeciętny ciężar poszczególnego ziarna.

Na wywody francuskiego generała zgadza się w zupełności Springer, rozpatruje jednakże nietylko sprawę numeracji śrutu, ale i sprawę, może jeszcze bardziej piekącą i niemiłą dotychczas dla myśliwych, a mianowicie monopol prochowy i ujednostajnienie metalowych brzegów u łusek nabojowych.

Co do ostatniej kwestji, istnieje dziś dowolność bardzo daleko posunięta, a co gorsza nieuporządkowana ścisłemi określeniami, skutkiem czego przez określenie brzegu jako „normalny“, można rozumieć trzy jego rodzaje mniej lub więcej różne. Chodzi o stopień, w jakim rąbek metalowej czapeczki u łuski wystaje na zewnątrz, oraz o jego grubość, a tem samem jak ma być głębokie i szerokie wyżłobienie u luf. Pomijając bowiem okoliczność, że źle dostosowana łuska, nie siedząca szczelnie w gnieździe nabojowem, ujemnie wpływa na równomierność strzału, naraża pozatem często myśliwego także na przykry zawód, gdy nieoględnie kupione łuski, włożone do lufy uniemożliwiają zamknięcie strzelby, co zwłaszcza u broni droższej, dokładnie obrobionej, uwzględniającej różnice na dziesiąte milimetrów, łatwo się zdarza.

O niedogodnościach wynikających z surowości przepisów monopolu prochowego, przekonali się niejednokrotnie myśliwi, szczególniej ci, którzy używają prochu bezdymnego,— a jest ich dziś z pewnością najwięcej. Jeśli nie może być mowy o zniesieniu monopolu, to niemniej wolno nam domagać się pewnych uwzględnień w sprowadzaniu gotowych nabojów; niema bowiem należytego uzasadnienia przepis, dopuszczający do oclenia najmniej 1000 sztuk, a przez to usuwający możliwość zaopatrzenia się w mniejszą ilość amunicji. Przepis ten, mniejszej wagi o ile chodzi o naboje śrutowe, przykrzejszy jest, gdy chciałoby się sprowadzić naboje kulowe, z którymi w tak pokaźnej liczbie możnaby raczej myśleć o rewolucji, niż o polowaniu. Wreszcie, jeśli rząd nie myśli ustąpić ani kroku ze swoich postanowień, niechże przynajmniej da nam proch, dorównujący dobrocią angielskim i niemieckim, czego niestety o dzisiejszym powiedzieć nie można. Przy tej sposobności byłoby pożądane, aby zapowiedziany nowy gatunek prochu pojawił się w formie krągłych ziarn, co ułatwiłoby napełnianie nabojów i niekoniecznie wymagałoby uciążliwego ważenia.

W myśl tych wywodów uprasza prelegent właściwe władze rządowe, aby:

1) nie zwlekały dłużej z puszczeniem w obieg handlowy nowego gatunku prochu i to w dwu gatunkach, dostosowanych do strzału kulowego i śrutowego;

2) wzywa fabryki śrutu do oznaczenia grubości śrutu w milimetrach, oraz aby podawały jakość śrutu (twardy czy miękki);

3) uważa, że fabryki powinny produkować łuski nabojowe wedle jednego typu, przyczem określenia „mały brzeg“, „normalny“ i „duży“ winny być zupełnie ścisłe i odpowiadające rzeczywistości; niemniej fabrykacja powinna dążyć do ujednostajnienia grubości ścian łusek. C. d. n.



J. C. W. ARCYKSIĄŻĘ JÓZEF.

DAREMNY TRUD.

Dokończenie.

Poniżej *Razgyel* przechodzi dolina w rozległą łąkę, na której się zatrzymałem, bo pochwyciłem jakieś szmery. Nie myliłem się, bo za parę minut wysypało się na łąkę 5 łań, a za niemi wspaniały dwunastak. Całe towarzystwo, nie troszcząc się wcale o mnie, poczęło paść się, co przerwałem strzałem, kładąc jedną łanię. Dwunastaka nie chciałem strzelać, bo w przyszłości wyrośnie z niego okaz, godny prawdziwego starania i lepszego, niż takie przypadkowe, spotkania. Przez odstrzał łań, którego dokonuję na każdem rykowisku, chcę doprowadzić do tego, aby stosunek płci był 1 : 1. Wtedy dopiero rozpocznę właściwy odstrzał byków.

Odbiegłem jednak od tematu!

W dolinie *Goborno* doleciały mnie odgłosy 6—8 byków, mimo, że było już po jedenastej! Warto wobec tego popatrzyć co to za spóźnione goście! Wspiąłem się na górę i . . . nie spieszyłem dalej, bo zobaczyłem obraz, ze wszech miar zasługujący na to, aby się przy nim zatrzymać. Stado złożone z jakich 40 sztuk pasło się opodal. W najbliższym kierdelu*) ryczał mój dobry znajomy — osiemnastak. Oglądam jego wspaniały wieniec, składam się, ale nie strzelam. Od lewej strony, z małej pochyłości nadchodzi dziesiątak — do którego również nie strzelam, bo wieniec ma pierwszej klasy! Niech rośnie . . . Nagle jeden z byków odłącza się od kierdelu i rusza na spotkanie dziesiątaka. Poczynają walczyć ze sobą i z dziesięć razy odskakują, aby za chwilę spleść się porożem w potężnym ciosie. Zwyciężył dziesiątak i z tryumfalnym rykiem ruszył ku łaniom. Złożyłem się do niego, lecz w czasie kiedy mierzyłem, podniósł się z trawy bardzo dobry czternastak i począł ryczeć. Z góry nadeszły znowu dwa byki, dwunastak i dziesiątak, a za nimi kierdel słabszych jeleni.

Zapomniałem całkiem, że mam przy sobie broń i nie strzelałem wcale, tak dalece bowiem zajęła mnie cała ta scena, rozgrywająca się o 200 kroków odemnie. Przyglądałem się jej jeszcze długi czas, poczem wróciłem do domu.

Wieczorem rozpocząłem swoje dzieło z innego końca. Ponieważ miałem wiatr północny, wysiadłszy z wózka, puściłem się prostą drogą do miejsca, w którem wczoraj widziałem dużo jeleni. Z wyjątkiem osiemnastaka zastałem wszystkie. Zastrzeliłem średnio-dobrego dziesiątaka, i nie chcąc tracić czasu, podążyłem żwawo przez Razgyel na *Papai Vrch.* Osiemnastak i czternastak ryczały dobrze, ale z niego nie było ani śladu. Czekałem na próżno, szukałem na darmo! Przepadł! Poleciłem więc tylko leśnemu Treszterowi nasłuchiwać go i natychmiast mnie zawiadomić, o ileby się odezwał.

Niestety nie słyszano go więcej. Mimo, że poświęciłem mu 24 podchodów rannych i wieczornych, mimo, że widziałem go kilka razy, a po dwakroć miałem go na strzał, uszedł mi stary gracz. . .

Przez następne dni myszkowałem po wszystkich zakamarkach lasu, przeszukiwałem najstaranniej miejsca, w których go poprzedniego roku widziałem, — ale nadarmo!

Po tym zawodzie, a raczej po tej serji zawodów, rozpocząłem 20-go października polowanie na dziki z radcą dworu Liebitsem. Polowaliśmy od kilku godzin, i wszystko szło dobrze — w podwójnym miocie padło kilku wycinków i jeden odyniec.

Miot następny nie przyniósł żadnego wyniku, nie padł ani jeden strzał i nagonka wyszła spokojnie aż do linji, na której obok mnie stał radca Lebits. Zszedłszy, ze stanowiska spytałem go oczywiście czy nic nie widział. Odpowiedział mi, że zaraz, gdy nagonka ruszyła na 80 może kroków, widział coś pomiędzy gałęziami, ale nie wie co to być mogło, obserwował jednakże owe coś dalej. Po pewnym czasie ujrzał znowu przedmiot poruszający się w prawo i w lewo — przyczem domyślił się, że jest to wieniec jelenia, spoczywającego w trawie.

Po tym odkryciu nie zwracał już zupełnie uwagi na nagonkę, lecz wpatrywał się w owe miejsce; utrudniała zresztą ogromnie obserwację ta okoliczność, że dojrzeć je można było jedynie przez szczelinę, zaledwie 50 cm. szerokości, utworzoną przez gałęzie, poruszające się z wiatrem i przesłaniające ustawicznie obserwowany przedmiot.

Gdy naganiacze doszli do tajemniczego jelenia, podniósł się zwolna i znikł w gęstwinie. I to był on! Żebym go ja był widział! Jutro idę na podchód.

Istotnie zaraz po południu byłem na miejscu, zajmując doskonały przesmyk; usadowiłem się na kamieniu pod potężną sosną i postanowiłem sobie nie ruszyć się aż do późnego zmroku.

Nademną cudowny błękit jesiennego nieba, oświetlający wspaniały krajobraz. Lekki wiatr przepędza delikatne smużki srebrnej pajęczyny; znam tu niemal każde drzewo i każdy krzak, a mimo to obraz cały oglądam z takiem samem zajęciem, z jakiem oglądałem po raz pierwszy.

W tym zakątku, strojnym całą pychą jesieni, rzucającej pełnymi garściami purpurę i złoto, jest cisza tak doskonała, że słyszę bicie własnego serca. Dalekie szczyty gór, przybliża do mnie tak złudnie przeźrocze powietrze, że mam wrażenie, jakoby ich można dotknąć się ręką. A słońce wyrabia niepojęte dziwy, zmieniając co chwila barwę i zasadniczy ton całej okolicy.

Zaiste — jest tu najpiękniej na świecie, — w tym wielkim kościele, gdzie modli się wszystko, jednem wielkiem radosnem upojeniem. Słońce spada coraz niżej na nieboskłonie, przenika wnętrze lasu i przemienia spadające liście w kapiące złote blaszki. . . Tak cudną może być śmierć! Ciemny las sosnowy poza mną przywdział szkarłat i pons, a drzewa liściaste toną w najjaskrawszych tonach purpury, karminu i złota. Doliny poczynają dyszeć mgłą i kiedy niebo pławi się jeszcze od ognistych i krwawych pocałunków słońca, ziemia otula się w mrok, a sosny, buki, dęby i jodły roztapiają się w ciemnym fiolecie.

Mgła gęstnieje coraz więcej, głuszy i ściera blaski, wreszcie roztacza się wielką, szarą płachtą. Robi się ciemno, a jedynym przedmiotem, który mogę jeszcze rozróżnić jest wielki konar, sterczący przedemną. Wstaję z miejsca, łamię suche gałązki i oto ogromna postać zjawia się mi na odległość strzału. To on!

*) Wprowadzamy wyraz „kierdel“, którym górale określają stadko, (owiec, kozic etc.) w miejsce niemieckiego „rudla“. (Red).

Spokojnie idzie dalej — jakby wiedział, że musi mi ujść bezpowrotnie! . . .

Spokojnie i ja ruszyłem ciemną nocą w ciemniejszą jeszcze dolinę.

Przepadł!...

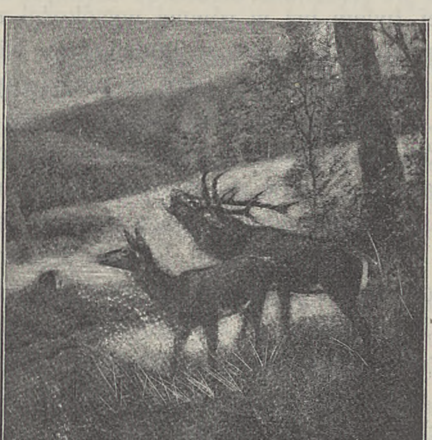
Umilkł na wieki! Śpi w mchach szmaragdowych!
Nad jego trumną lśnią jodeł gromnice,
Całun go tuli liści purpurowych,
Żałobną baśnią brzmią świerków dzwonnice!

Tam hen na zrębach strzału błyskawice
Padły weń gromem! W nocach księżycowych
Zatęsknią za nim królewne-dziewice,
Rywal nie zlęknie się gróźb piorunowych!

I tu się przywlókł imperator dumny
Gdzie bracia-orły mają swoje trony
By i po śmierci nie oddać korony!

I tu do skalnej położył się trumny
I dzikim siebie powierzył ostępom,
By dać się orłom pochować — i sępom.

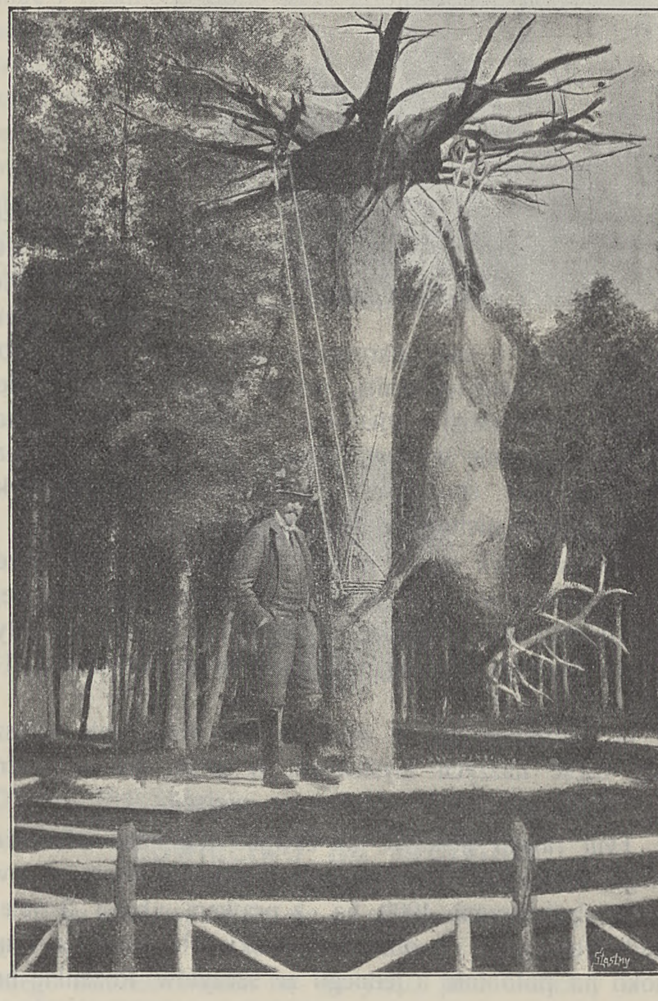
Albert Mniszek.



Pierwszy wapiti ubity w Pilawinie.

Już niejednokrotnie mieli myśliwi sposobność czytać w „Łowcu“ specjalne i ciekawe opisy „Pilawina“, znanego dzisiaj już bezmała w świecie całym, gdyż nietylko zamiłowani myśliwi, ale i ludzie nauki spieszą z Angliji, Francji, Niemiec i Rosji, by podziwiać i badać to, co w przeciągu lat kilku stworzył Józef hr. Potocki, w lasach dóbr Piszczów, na Wołyniu.

Jeżeli przesyłam dzisiaj krótki opis pobytu mego w Pilawinie, to czynię to dlatego, bo mam uczucie, że czem Mekka dla Muzułmanina, tem powinien być Pilawin dla każdego myśliwego, gdyż niezrównaną jest rozkoszą podziwiać tę odwieczną knieję, te niebotyczne dęby, sosny i jesiony, a wśród nich przesuwające się olbrzymy jelenie wapiti, Dybowskiego, marale, t. zw. rogacze pygargusy, łosie, lub wreszcie króla tych puszczy, żubra. Szczęście mi sprzyjało, bo danem mi było, skrytemu za dębem lub sosną, wszystkie te zwierzęta widzieć i podziwiać. Kilka godzin spędzonych w tym wspaniałym lesie, przy ślicznej pogodzie, wśród zachodzącego słońca, zdają mi się i dziś jeszcze być sennem zjawiskiem.



Wieczorna pogadanka w myśliwskim pałacyku, zakończona przez J. hr. Potockiego propozycją, bym nazajutrz rano przed wyjazdem pojechał na rykowisko i starał się zabić jelenia wapiti, sprawiła mi radość, którą każdy myśliwy zrozumie, bo odczuje. Przed 5-tą rano, w towarzystwie gospodarza i łowczego p. Sokalskiego, niezrównanego myśliwego i znawcę życia mieszkańców tej puszczy, byliśmy już w lesie, pilnie nadsłuchując skąd odgłos ryku nas dojdzie.

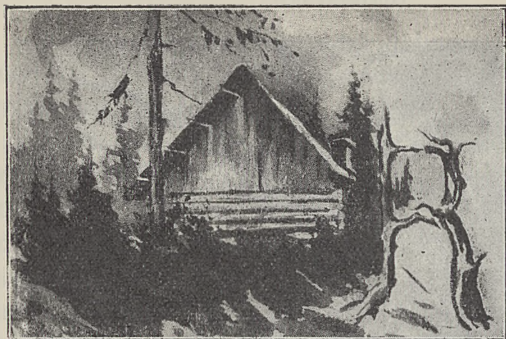
Niebawem usłyszeliśmy odzywające się w dali 2 jelenie wapiti. Ryk ich podobny do głosów naszego jelenia, kończy się kilkakrotnem gwizdnięciem, podobnem do gwizdu maszyny parowej. Zacząłem wraz z łowczym podchodzić silniejszego, a po upływie dwóch godzin, chybiwszy z pierwszej lufki z powodu emocji, drugą kulą ubiłem to wspaniałe zwierzę.

Pierwszy był to jeleń wapiti, zabity w Pilawinie. Radość moją niezmierną podzielał gościnnie i kochany gospodarz, a gościnność to prawdziwie niewidziana, aby po szeregu lat trudów, kosztów, zabiegów i zawodów nie samemu pierwszą w Pilawinie zabić sztukę, ale rozkosz tę odstąpić gościowi. Jeleń był rzeczywiście wspaniały, normalny czternastak, ważył 796 funtów, czyli 326 kg.

A. Wodzicki.

ALBERT MNISZEK.

Ze szczytów Rożanki.



ok bieżący zaznaczył się wczesną wiosną i latem, wskutek czego i czas parowania się naszej fauny odbył się w nim o wiele wcześniej, niż w innych latach. Jesień, a z nią i zimne ranki i wieczory, zawitały do nas przynajmniej dwa tygodnie wpierw, jak się ich w latach normalnych zwykliśmy spodziewać i rozbudziły też niezwykle wcześnie popęd płciowy u naszych jeleni.

Pierwszy byk ryczał w górach skolskich już 9. września (w Chorostowie), a rykowisko doszło kulminacyjnego swego punktu 20. września. W dniu tym ryczało na całym obszarze Skolego, według raportów straży łowieckiej, 182 byków.

Ja wybrałem się w góry w tym roku, jak większa, sądzę, część naszych myśliwych, o kilka dni za późno. 22. września po południu byłem na miejscu.

Tym razem łaskawi tak zawsze dla mnie właściciele Skolego, oddali do mojej dyspozycji całkiem obcy mi rewir Rożankę, przestrzeni 4000 ha. z prawem ubicia 2 jeleni. Dwie koleby, jedna na dole nad potokiem Rożaneczką, druga wysoko na połoninie u jednego ze szczytów Rożanki, bardzo umiejętnie rozmieszczone, służyć mi miały za schroniska i podstawy do mych operacji myśliwskich na tej ogromnej przestrzeni.

Zaraz po przyjeździe, dnia 22. września do dolnej koleby, wybrałem się o godz. 3. po południu z gajowym na najbliższe zręby, raczej celem rozpatrzenia się w sytuacji, aniżeli z zamiarem podchodzenia jeleni.

Z góry, ze zrębu nad kolebą, widok cudowny! Przedemną stromy, starą jedliną brodaty grzbiet górski „Cekuł", na lewo także sama poważna „Osownia", nad nią połonina tworząca granicę Mizunia. Na prawo ciągnie się hen w dal ku dołowi łączka, wśród której srebrzy się szumiący strumień Rożaneczki. Jeszcze dalej widać na łące jasne ruszające się plamki, od których dochodzi do uszu koncert w kilku tonach brzmiących dzwonków. To krowy, rasowe Siementhalery, skubiące chciwie ostatnie, jesienne trawy. Łączka niknie wśród gór, nad któremi rysują się fiołkowo żółtym tonem połoniny nad granicą Węgier leżącego Beskidu i poszarpane szczyty Libohory, hebanowo czarne od kryjącego się za nimi już słońca, promieniejące całe jego złotą aureolą.

Naprzeciw mnie, na stoku „Cekuła" widnieje, wśród szafirowo czarnej w tej chwili jedliny, jasna, duża łatka zrębu bukowego. Stamtąd dochodzi pierwszy raz moich uszu ryk jelenia. Echo jego odbija się kilkakrotnie po stromych ścianach górskich, płynie potężnym akordem łąką wzdłuż strumienia i znika hen w dali w jego szumie. Za chwilę jednak z głębi jaru, dzielącego Osownię od Cekuła, grzmi ta sama pieśń, lecz potężniej i niższym tonem basu, echa ją niosą, lecz już nie milkną, gdyż wszystkie stoki i jary grzmią od ryku.

Odkąd poluję na jelenie, takiego koncertu nie słyszałem nigdy. Rachujemy po głosie 12 ryczących byków w promieniu jakich 3 kilometrów. Wśród nich, głębokim basem rozróżnia się wciąż jeleń, ryczący w jarze pod Osownią. Na zrębie, niedaleko mnie, ryczą dwa. Idę, by z nimi bliższą zawrzeć znajomość.

Z zakrętu ścieżki, na przeciwległym stoku zrębu, spostrzegam całe towarzystwo, trzy łanie, lichego ósmaka i wcale dobrego, o grubych, czarnych rogach dziesiątaka. Stoi o 150 kroków odemnie, wściekle rycząc, bijąc wieńcem po krzakach. Ósmak stoi opodal równie rycząc, lecz nie śmie zbliżyć się do towarzystwa. Zmrok zapada, zwracam ku kolebie, góry wokoło mnie brzmią wciąż rykiem.

Pierwszy brzask dnia 23. września, wśród przenikliwego zimna i drobnego „kapuśniaku", zastał mnie już czekającego nad „bachmanatowym" potokiem w głębi jaru, skąd mnie wczoraj basowy ryk jelenia dochodził. Cicho było zupełnie, choć dobrze już dniało. Już zacząłem się niecierpliwić, gdy w górze nademną odezwał się mój wczorajszy znajomy. Odpowiedział mu zaraz obok drugi, a w kilka minut później grzmiały już góry jednym, nieustającym rykiem. O podchodzeniu, wprost po złomach i kłodach, do tego z wiatrem niepomyślnym, nie było mowy. W pół godziny później byłem już w równej wysokości z dwoma ryczącymi jeleniami i zacząłem je podchodzić. Niestety, umilkły, a natomiast niedaleko, lecz w przeciwnym kierunku ryczał jeden. Cofnąłem się więc wstecz i gdy dochodziłem do celu, znów ten zamilkł, a tamte dwa się rozryczały na dobre. Wracam więc znów do tamtych. Deszcz ustał, pogoda słońce już opromieniło smukłe iglice jodeł na szczycie Osowni i złoci połoniny. Ryczące jelenie posuwają się teraz w dół ku potokowi i ja również z nimi. Przychodzę do zakrętu góry i za jarem, w którego dnie szumi potok, głuszący me kroki, mogę palcem oznaczyć miejsce, gdzie ryczą byki w starej jedlinie, w odległości 250 kroków. Rozpoznaję słuchem, jak się zbliżają do żółtą łatą widniejącej polanki. Czekam gotowy. Na polance zjawia się łania, kryje się wkrótce w ciemnej toni jodeł, jak księżyc, co przeszybowawszy tarczę błękitu, topi się w chmurach. Za chwilę idzie druga, trzecia, znów pusto na polance, wreszcie ukazuje się znów głowa, ale tym razem zbrojna w bujne poroże. Idzie król w ciemnej, jakby kutej z bronzu koronie, której końce, jak perły się świecą, wysuwa się cały, nie przeczuwa bliskiego końca. Przystanął, wieniec w tył zarzucił i ryknął, z nozdrzy parą bucha... Rywal do niego się zbliża, więc wieńcem w kłodę uderza i spotkania czeka. Ryczy znowu i zwraca się w dół. Widzę grzbiet jego, zakrytą wieńcem łopatkę i kark potężny. Za chwilę mi zniknie! Krzyż lunety drga już nerwowo na łopatce zwierza. Pada strzał. Czy runął, czy też w dół tylko spłoszony skoczył? Cisza. Słychać trzask łamanych gałęzi, czyniony przez uciekające łanie. Lecz dzielny rywal zostaje na pobojowisku — nie milknie i długo jeszcze słychać grzmot z potężnej jego piersi...

Czy jeleń trafiony? czy leży? oto pytania, które do mózgu się cisną! Gajowemu i towarzyszącemu mnie jeszcze huculowi zdaje się, że padł w ogniu, lecz leżącego nie

widać. Godzina pół do ósmej. Haust gorącej herbaty z termoforu, przekąska — czekamy do dziewiątej. Zostawiam hucuła na ścieżce, by mi wskazał miejsce strzału. Okrążam zwor i przychodzę na polankę. Leży! woła gajowy... Leży pod jodełką, na grzbiecie, nasz olbrzym górski z rozwartemi, zielono szklącemi się źrenicami. Z pyska wisi skrwawiony ozór. Żal mi tego zwierzęcia! Jakiem prawem odebrałem mu życie, zgasiłem strzałem tę pieśń jego cudowną, jakbym zgasił świecę!... Leży cicho martwy i oddaje mi w łup wieniec kapitalnego wstecznego dwunastaka, nie bardzo wysokiego, gdyż tylko 80 cm., lecz bardzo grubego, ślicznego kształtu, o niesłychanie bujnych i długich odnogach czołowych nadocznych i środkowych, wagi 7.300 kg.

Ciekawym i jedynym może w swoim rodzaju był efekt mej kuli.

Strzelałem do jelenia, jak wyżej wspomniałem, schodzącego w dół, z góry na kulawy sztych, niewygodnie, w chwili, gdy wieńcem maskował kark i łopatkę. Pocisk z $6\frac{1}{2}$ Schönauera uderzył w środek lewej odnogi nadocznej, przebił ją jakby gwoździem, niewiele ją uszkadzając, przebił ucho i wlazł w środek szyi zwierza, powalając go w ogniu. Przy rozćwiartowywaniu skonstatowano, że pocisk z karku zwrócił się pod kątem niemal prostym w górę i przeszył wnętrze zwierza prawie całe, rozdzierając wprost wszystkie szlachetne organy, aż wreszcie morderczą swą drogę skończył w poszarpanej przez się wątrobie. Co za tytaniczna siła tego, tak nikłego, kawałeczka metalu!

Na tym pięknym epizodzie skończyły się niestety moje powodzenia. Przyznać się jednak muszę, że mając prawo ubicia jeszcze jednego jelenia, zacząłem grymasić. Tegoż dnia po południu na zrębie nad moją kolebą zeszedłem wcale dobrego czternastaka na 60 kroków i kilka minut obserwowałem go, nie myśląc nawet o strzale. Mając go tak blizko koleby, przeznaczyłem go sobie, jako „ultima ratio“ na wypadek, gdyby mi się nie udało uzyskać czegoś lepszego.

Za teren mych operacji obrałem sobie nazajutrz górę „Osownię“, teren bardzo trudny, starą jedlinę mocno młodą buczyną podszyty, tam bowiem kilka jeleni dobrze się odzywało. O godzinie 6. rano zacząłem podchodzić liczny orszak weselny, złożony z trzech ryczących jeleni i kilku łań. Orszak posuwał się z dołu ku szczytowi, a ja wziąłem sobie za zadanie obejść go i w górze, z dobrym wiatrem, przeciąć mu drogę. Przedsięwzięcie to było nad wyraz trudne, gdyż w tej części rewiru brak zupełnie ścieżek podchodnych i trzeba było przedzierać się się przez złomy, gąszcze i kłody. Niestety, przybyłem kilka może sekund za późno i wlazłem w środek orszaku. Główny jeleń z łaniami już mnie minął, podszedłem tylko dwa niegodne kuli przyciołki. Głównego jelenia podszedłem jednak chwilę później ze złym już wiatrem, tak że widziałem w ruch wprawiane przez niego gałęzie, zobaczyć go jednak nie mogłem, poczuł mnie, umilkł i ulotnił się, jak kamfora. Trzeba było wracać. Zeszedłszy na łączkę ujrzałem na połoninie graniczącej z Libohorą całe to grono weselne. Stał na szczycie z całym haremem, niedościgniony cel mych marzeń! Stał król tych gór, nurzając swój wspaniały wieniec w czystym nieba lazurze, by zniknąć wkrótce powoli za stokiem góry...

Dnia tego przestały jelenie prawie zupełnie ryczeć, przynajmniej silne, podszedłem jeszcze w ciągu dwóch dni następnych kilka, lecz wszystkie były słabe. Umilkł i mój „spiżarniany“ czternastak i znikł ze zrębu. Nie spotkałem go już więcej.

Tak więc z jednym ale z „lwem“ wróciłem do domu, wplótłszy świeży złomek jedliny w wieniec mych wspomnień myśliwskich, unosząc potężnych wrażeń wiązankę i tęsknicę, która każe myśli wciąż uporczywie wracać do tych poważnych, starą jodłową baśnią szumiących grzbietów, do tych jarów grzmiących strumieni potęgą, do tych cichych, zadumanych zielono-szarych połonin, na których tak chętnie najpierw siada świt różawy, zanim budzić poleci codzienny trud świata, na którym wreszcie wyciska ostatnią swą złotą pieczęć wieczorne słońce, zanim pogrąży się w mroku sinych szczytów i mgłą fioletową spowitych grzbietów Karpat.



ŁOWIEC POLSKI.

Łowiectwo na Wołyniu.

Tem chętniej dzielę się w niniejszym artykule swojemi spostrzeżeniami, że w ciągu swego dwudziestopięcioletniego zamieszkiwania na Wołyniu, jako nadleśny w rozległych dobrach Józefa hr. Potockiego, znanego w szerokich kołach myśliwskich podróżnika i rzetelnego miłośnika przyrody i zwierzyny, miałem możność dokładego poznania stosunków myśliwskich w całym powiecie zwiachelskim.

Spostrzeżenia i uwagi moje dzielę przedewszystkiem na dwie główne części:

W pierwszej podaję wierny obraz stanu zwierzyny leśnej wogóle, wykazując przyczyny upadku zwierzostanu w większej części majątków leśnych i zwracając uwagę na konieczną potrzebę wprowadzenia wszędzie racjonalnej hodowli zwierząt leśnych i obmyślenia skutecznej dla tej hodowli ochrony; w drugiej, będę się starał zaznajomić fachowe koła myśliwskie z wynikami próby aklimatyzacji zwierząt egzotycznych w naszych stronach, próby, którą z wielkim nakładem pracy i pieniędzy rozpoczął pomyślnie przed siedmiu laty hr. Józef Potocki w swym, dziś w świecie myśliwskim pochlebnie znanym i sławionym, zwierzyńcu „Pilawin“.

Państwo rosyjskie, na olbrzymich swych obszarach, posiada niewątpliwie ogromne mnóstwo gatunków zwierzyny i ptactwa; szczyci się ono jedynem w świecie posiadaniem żubrów w puszczy Białowieskiej i na Kaukazie; ma lwy i tygrysy na granicy Persji i Usurji, przemnogie gatunki jeleni na Kaukazie i Syberji; stada dzikich bażantów w Mandżurji i okolicach Semipalatyńska itd., itd., a mimo to nie da się zaprzeczyć, że w wielu okolicach ślad grub-

szej zwierzyny łownej zachował się jedynie w nazwach uroczysk, jak: „Medweże“, „Bobrowe“, „Łosiowe bagno“, a zimą na znacznej przestrzeni nie dojrzy oko tropu zajęczego; jeżeli zaś dojrzy, to równocześnie ślad kłusownika i obok psy-włóczęgi.

Gdyby było rzeczą możliwą cyfrowe zestawienie ubitej zwierzyny łownej w ostatnich 25-ciu latach, rok po roku, w poszczególnych częściach państwa rosyjskiego, to twierdzę śmiało, że owe cyfry przekonałyby dowodnie najzagorzalszych optymistów, hołdujących zasadzie: „Wszystko dla myśliwych i myśliwstwo dla wszystkich“, że zwierzostan stale się zmniejsza, że w mniej bogatych w zwierzynę okolicach znikają poszczególne gatunki doszczętnie, a w bogatszych, jak np. na Syberji, zmniejsza się z roku na rok tak bardzo, że wkrótce ludność tamtejsza, żyjąca dziś przeważnie z łowiectwa, t. j. ze sprzadaży futer ubitej zwierzyny, tego środka do życia będzie pozbawiona. Już w r. 1903, bawiąc w Syberji, w celach zakupna zwierzyny dla parku Pilawin, przekonałem się naocznie, że w pobliżu linji kolejowej, od Czelabińska po Krasnojarsk, o polowaniu na grubego zwierza nie mogło być mowy, a pragnąc zażyć rozkoszy myśliwskiej, musiałem zboczyć daleko na południe w tajgi, gdzie dopiero możliwem było spotkanie i to nie łatwe, grubszej zwierzyny. To samo tyczy się Eldorada myśliwskiego na Uralu i Kaukazie. Dziś winne już być użyte środki celem podniesienia zwierzostanu tych krajów, gdzie broni ich jeszcze natura, górzyste położenie i stosunkowo słabe zaludnienie.

Darujcie panowie myśliwi, nie przemawia do was krytyk, lecz całą duszą oddany, zamiłowany hodowca i myśliwy, który z żalem, ale trzeźwo patrzy w nieróżową przyszłość dla następnych pokoleń.

Przechodząc do określenia stosunków łowieckich na znanym mi dokładnie obszarze powiatu zwiachelskiego, winienem zaznaczyć, że wykazując ujemne strony łowiectwa w tych stronach, liczę się z tem, iż pewne gatunki zwierza muszą z konieczności ustąpić, w miarę karczowania obszarów leśnych, zmiany kultury, zwiększenia się ludności itp.; że rozumiem dobrze, iż ani łoś, ani głuszec nie ostoi się w małych gajach leśnych; sądzę jednak, że w miarę ubytku grubszej zwierzyny, powinno się, przy pomocy hodowli i ochrony rozpowszechniać takie gatunki zwierzyny łownej, którym ubytek przestrzeni leśnej i zaludnienie, rozmnażać się nie przeszkodzą, jak np. sarna, zając, kuropatwa, to jest zwierzyna, tak zwana, kulturalna.

W lasach Wołynia, gruby zwierz, w niewielkiej ilości, trzyma się w większych obszarach północnej części, w pozostałych zaś obszarach niema go już, a co gorsza, niema w nich i drobniejszej zwierzyny łownej, bo to, co jest jeszcze, nie stoi w żadnym stosunku do obszaru, posiadającego wszystkie warunki do życia i rozmnażania się tych zwierząt, a nadto i ta niewielka ilość zwierzostanu z każdym rokiem maleje. Z własnych notatek myśliwskich, które starannie prowadzę, mogę podać przykład następujący:

W niedalekiem sąsiedztwie, polując w r. 1896 w 10 strzelb, z nagonką, zabiliśmy 34 sztuk, t. j. rogacza, 22 zajęcy, 3 lisy i 8 jarząbków; w roku bieżącym, na polowaniu w 16 strzelb, padło już tylko 3 zające i 1 lis; a jarząbka nietylko nie widzieliśmy, ale przekonałem się, że już od lat kilku nie było ani jednego. W przeciągu lat 10-ciu polowano tak umiejętnie, że wybito wszystko co do nogi.

Na szczęście, nie wszędzie tak polują; obok strzelców znajdują się tu i ówdzie myśliwi-hodowcy, którym większą przyjemność sprawia widok licznej, zdrowej zwierzyny, aniżeli celność strzału. Na łowach u jednego z takich myśliwych stałem na stanowisku obok gospodarza. Gdy nagonka ruszyła, przebiegło stadko sarn obok stanowiska gospodarza. Złożył się do rogacza, wytrzymał, pociągnął za cyngiel, a potem z najlepszym humorem twierdził, że rogacza w samą komorę trafił; chociaż strzału nikt nie słyszał. Ów myśliwy-hodowca stawał na stanowisku z bronią nie nabitą; dla niego możność dania celnego strzału — była już wielką przyjemnością.

Z powyższych dwóch przykładów łatwo wysnuć wnioski o stosunkach łownych na Wołyniu. Wielu właścicieli większych i mniejszych majątków leśnych bawi się wybijaniem zwierzyny, niewielu zaś myśliwych bawi się hodowlą zwierząt łownych; ci ostatni jednak, z rezultatów, jakie dają doroczne łowy w kniejach szanowanych, mogą służyć za dowód, że hodowla i ochrona zwierzostanu opłaca się sowicie, dostarczając i godziwej rozrywki i przynosząc materjalny dochód.

Na Wołyniu znane mi są knieje z racjonalnej hodowli zwierzostanów: księcia Romana Sanguszki w Sławucie, księcia Stanisława Lubomirskiego w Równem; panów Karwickich w Połonnem, panów Uwarowów w Emilczynie, no i mojego mandanta, Józefa hr. Potockiego, w jego kniejach Antonińskich i Szepetowieckich.

Dla przykładu podaję tu wierną statystykę rozkładów na trzydniowem polowaniu w Antoninach:

Bażantów 3.049, kuropatw 148, kozłów 6, zajęcy 83, lisów 3, różnych 62 — razem sztuk 3.351.

Zaś w Szepietowieckich lasach zabito 126 dzików, 68 rogaczy, 8 lisów i 60 różnej zwierzyny łownej, na polowaniu kulami, w ciągu czterech dni.

Cyfry te świadczą dowodnie, że przy pomocy hodowli i umiejętnej ochrony zwierzostan doprowadzić można do niezwykłej świetności.

(C. d. n.)



STANISŁAW ŁOBOS.

Potrzeby naszego myśliwstwa.

Zanim przystąpię do naszego łowiectwa, muszę choć po krótce zaznajomić najpierw czytelników z ważną, międzynarodową instytucją, myśliwską, powstałą w Brukseli w roku 1908.

Czynię to z dwóch względów, po pierwsze, abyśmy wzięli w niej czynny udział, przynajmniej przez nasze Towarzystwo łowieckie, a po drugie, że uważam za konieczne przeszczepienie na nasz grunt niektórych urządzeń tej instytucji.

Tytuł jej opiewa „Office international de Documentation pour la Chasse“, co mniej więcej w polskim języku brzmi: „międzynarodowy związek popierania myśliwstwa“.

Wedle 29 artykułu statutu, związek ten ma na celu popierać to wszystko, co odnosi się do myśliwstwa, a w szczególności ma między innemi zadanie ułożyć ogólną bibljografię łowiecką, zbierać obrazy, rysunki, fotografje i inne dokumenty, dotyczące łowiectwa wszystkich narodów.

Aby to zadanie doprowadzić do skutku, stworzono osobne biuro, zwane „Collége technique“, którego zakres działania obejmuje wszystkie kraje. Korespondenci tego biura, wybrani z pośród najznakomitszych myśliwych wszystkich narodów, posyłają sprawozdania o stanie danego myśliwstwa, tak że związek, o ile zachodzi tego potrzeba, może stawać w obronie zagrożonego łowiectwa.

Prócz tego korespondenci obowiązali się: I. nadsyłać dzieła, artykuły, rękopisy, obrazy, zdjęcia fotograficzne z zakresu myśliwstwa; II. podawać tytuły książek, pism, artykułów łowieckich, wraz z krótkiemi sprawozdaniami, co zawiera dana publikacja.

Dostarczony w ten sposób materjał porządkuje biuro wedle czterech następujących działów:

I. Bibljografia, będzie zawierać wszystkie publikacje z zakresu myśliwstwa, jak książki, broszury, artykuły z pism.

Każda publikacja będzie podana w trzech grupach: W pierwszej grupie wedle nazwiska autora, w drugiej wedle tytułu, w trzeciej wedle tytułu pisma, względnie wydawnictwa.

Taki układ bibljografji okazał się najdogodniejszy, gdyż szybko z pierwszej grupy możemy się dowiedzieć co dany autor napisał; — z drugiej, co w ogóle o danym przedmiocie napisano; — z trzeciej, jakie artykuły drukowało dane pismo,

Odbitki tej bibljografji otrzymują członkowie związku bezpłatnie.

II. Bibljoteka zawierać będzie możliwie najzupełniejszy zbiór dzieł, broszur myśliwskich, artykułów z pism, katalogów przemysłowych i t. p.

Bibljoteka ta, utworzona drogą darów i kupna, stanie się po kilku latach głównym, międzynarodowem zbiorem, z którego będą mogli korzystać wszyscy myśliwi.

III. Zbiór obrazów, rysunków, fotografji, mających związek z myśliwstwem.

IV. Zbiór dokumentów, obejmie wyciągi z prac, rękopisy itp.

W ten sposób, przy odpowiedniem poparciu samych myśliwych, stać się może to Collége technique prawdziwą powszechną Akademją myśliwską.

Powinno zatem nasze Towarzystwo łowieckie wpisać się do tego związku i udzielać mu pożądanych wiadomości o naszem myśliwstwie we wszystkich jego objawach.*)

Roczna wkładka członka zwyczajnego wynosi 25 frcs. bliższy adres tego związku: Bruxelles, 27 a Montagne de la Cour.

*) Gal. Towarzystwo łowieckie, przystąpiło już jako członek do państw. Związku łowieckiego, który ma za zadanie ochronę wszelkich interesów łowieckich w Austrji. Instytucja ta pozostaje w ścisłych stosunkach z „Office international“ o którym Sz. autor wspomina, odpada więc potrzeba należenia do niej naszego Towarzystwa. (*Red.*).

Dla myśliwstwa w ogólności, powstanie Collége technique jest bardzo doniosłym faktem. Dla polskiego myśliwstwa stworzenie podobnej instytucji, rozciągającej swą działalność na wszystkie ziemie Polski, jest istotną potrzebą. Byłoby więc wskazane, ażeby uchwalona na ostatniem walnem zgromadzeniu, na wniosek p. Schechtla „komisja dla uporządkowania literatury łowieckiej i ułożenia słownictwa łowieckiego“, zorganizowała się na wzór Collége technique.

Stała ta organizacja, pod patronatem Towarzystwa łowieckiego, którą możnaby nazwać „komisją dla popierania wiedzy łowieckiej“, miałaby na celu:

I. ułożenie polskiej bibljografji łowieckiej;

II. utworzenie bibljoteki dzieł przedewszystkiem polskich, mających łączność z myśliwstwem, która ułatwiłaby badanie naszego łowiectwa;

III. Zebranie fotografji, obrazów, dokumentów, zabytków odnoszących się do polskiego myśliwstwa;

IV. Usuwanie wpływów obcych z polskiego łowiectwa, a więc w pierwszym rzędzie, oczyszczenie języka łowieckiego, sposobami które bliżej wyłuszczyłem w artykule p. t. „W sprawie oczyszczenia języka łowieckiego“. (Łowiec 1910. Nr. 4.)

V. Podniesienie literatury łowieckiej przez wydawanie dzieł, czy to przy pomocy konkursów, czy to umożliwiając pisarzom łowieckim, wydanie ich prac;

VI. Zbadanie dokładne przeszłości łowiectwa polskiego.

W ogóle zaznaczyć wypada, że komisja miałaby szerokie pole do działania, gdyż polskie łowiectwo nie jest jeszcze opracowane. Jednem słowem komisja ta byłaby polską akademją myśliwską, któraby podniosła polskie łowiectwo do rzędu prawdziwej wiedzy, jak to już jest za granicą.

W skład tej komisji weszliby myśliwi z całej Polski, aby wspólnemi siłami pracować nad odrodzeniem łowiectwa polskiego.

Dalszą również ważną potrzebą naszego myśliwstwa jest podniesienie jego znaczenia ekonomicznego.

Zadanie to przekazałbym specjalnie w tym celu utworzonej stałej komisji, która w szczególności miałaby na celu:

I. Wytworzenie przemysłu myśliwskiego;

II. Podniesienie handlu zwierzyną.

III. Pośrednictwo przy kupnie odstrzałów.

IV. Utrzymanie statystyki ubitej w kraju zwierzyny, jak również statystyki obrotu handlowego zwierzyną łowną, a w szczególności wywozu zwierzyny za granicy, (§. 15 e) projektu nowego statutu).

Ad. I. Kto miał, lub będzie miał sposobność zwiedzić obecną, wszechświatową wystawę łowiecką we Wiedniu, przekona się naocznie, że w zakres nowoczesnego myśliwstwa wchodzi nie tylko samo prawidłowe polowanie, umiejętne hodowanie zwierzyny, fachowa literatura, sztuka łowiecka, ale i przemysł myśliwski; — (właśnie jednym z głównych celów tej wystawy, jest przekonanie ogółu o znacznym wpływie myśliwstwa na przemysł.) — Musimy przyznać, że istotnie dopięto tego celu, a kto widział na własne oczy, wszystkie wystawione wytwory przemysłowe, począwszy od potężnych chłodzarń, aż do najdrobniejszych wyrobów jubilerskich, ten ma pojęcie, jak wielka ilość różnych gałęzi przemysłowych, stoi na usługach łowiectwa.

Nasz przemysł reprezentowała tak znikomo mała liczba firm, że to powinno nam oczy otworzyć, iż i my musimy stworzyć przemysł łowiecki. — Nie stać nas na razie na zakładanie wielkich fabryk broni myśliwskiej, nabojów, ale prócz tych wyrobów istnieje znaczna liczba takich przyborów myśliwskich, które śmiało można wyrabiać w kraju.

Nie starczyłoby miejsca na wyliczanie takich wyrobów! Dość przytoczyć, że przybitki sprowadzamy z zagranicy, choć w kraju możnaby je fabrykować, strzelamy do tarcz odbitych też zagranicą, jakby tego nie potrafiły zrobić nasze drukarnie i zakłady litograficzne.

W ten sposób tysiące idą do kieszeni obcych, zamiast pozostać w kraju.

Skoro mowa o bogaceniu się zagranicy naszym kosztem, nie mogę powstrzymać się od skreślenia następującej uwagi:

Typowym przykładem naszego niedołęstwa, gdyż inaczej tego nazwać nie można, jest brak w kraju zajęczarni.

Ileż to już od szeregu lat było w „Łowcu“ narzekań na niesumienność obcych handlarzy zwierzyną! Doszło nawet do tego, że żądano wprost opieki ze strony Towarzystwa łowieckiego (patrz korespondencja p. Józefa Bartmańskiego, Łowiec 1909, Nr. 6. str. 68), a to bynajmniej nie pobudziło żadnego z naszych myśliwych, ani do założenia stałej zajęczarni, ani nawet do sprzedawania schwytanych zajęcy, choćby tylko w czasie zimowym. To samo dotyczy i kuropatw.

Wstyd doprawdy, że tyle corocznie pieniędzy bierze od nas zagranica za dostarczone nam do rozpłodu zające i kuropatwy, gdy tak łatwo możnaby te pieniądze zatrzymać w kraju, a nawet mieć ładne dochody za wywiezioną od nas żywą zwierzynę. Takie bowiem ogromne zające podolskie, przyzwyczajone do ostrzejszego klimatu i gorszej paszy, wspaniałych rozmiarów dziki, jelenie, znajdą chętnych nabywców za granicą, gdzie zachodzi ciągła potrzeba odświeżania krwi.

Podniesienie handlu żywą zwierzyną należy do najpilniejszych spraw, któremi powinna się zaraz zająć komisja. Sprawa ta należy do drugiego punktu; wracając jeszcze do punktu pierwszego, można w ten sposób określić zadania komisji, odnośnie do wytworzenia przemysłu myśliwskiego:

a) Komisja ułoży i poda do wiadomości ogółowi myśliwskiemu spis wyrobów polskich, odnoszących się do celów myśliwskich;

b) komisja zajmie się sporządzeniem wykazu wytworów angielskich, francuskich, które mogą zastąpić wyroby pruskie;

c) komisja informować będzie koła przemysłowców, które wyroby myśliwskie należałoby fabrykować w kraju;

d) komisja w dalszym ciągu będzie uwiadomiała myśliwych o postępach przemysłu łowieckiego, wynalazkach tyczących się myśliwstwa i t. p.

Ad. II. Celem ożywienia handlu zwierzyną komisja będzie:

1) podawała w „Łowcu“ ceny targowe ubitej i żywej zwierzyny i skór, wiadomości o stanie zwierzyny u nas i zagranicą;

2) sprawowała nadzór nad ogólną sprzedażą zwierzyny ubitej;

3) ułatwiała zbyt zwierzyny swoim członkom, czy to przez założenie ławy targowej, czy przez pośrednictwo z kupcami obcymi;

4) ożywi wywóz zwierzyny żywej za granicę, postara się o założenie zajęczarni, kuropatwiarni i t. p.

Ad III. Polowania galicyjskie, szczególnie na grubego zwierza, mają od dawna wyrobioną markę. Sławę tę potwierdza w zupełności oddział galicyjski na obecnej wystawie we Wiedniu. Zapewne nie jeden z obcych myśliwych, pod wrażeniem ogromnych niedźwiedzi, wspaniałych wieńców i potężnych rożków, zapragnie zdobyć u nas tak okazałe trofea.

Otwiera się zatem dla nas nowe źródło dochodów, którem nie możemy pogardzić. — Wszak ono Szwecji, Norwegji, Węgrom przynosi rocznie tyle tysięcy.

To też komisja będzie zawiadamiała naszych myśliwych o poszukiwanych odstrzałach, a obcym myśliwym będzie udzielała wskazówek, gdzie i na jaką zwierzynę mogą polować.

Powyżej skreślone potrzeby pomija milczeniem projekt nowego statutu. Stąd, wedle mego zdania, trzeba odpowiednio uzupełnić § 2. tego projektu.

W § 2. trzeba dodać do punktu 7. „podnoszenie literatury łowieckiej przez wydawnictwo dzieł myśliwskich i (dalej już jak w projekcie) utrzymywanie organu Towarzystwa, którym jest dwutygodnik illustrowany „Łowiec“.

Do dziewięciu punktów, dopisałbym dziesiąty opiewający ogólnie „podnoszenie ekonomicznego znaczenia myśliwstwa.“

Wejście w życie nowej, niekorzystnej dla prawidłowego rozwoju naszego myśliwstwa, ustawy łowieckiej, zmusza nas myśliwych do podjęcia obrony zagrożonego łowiectwa.

Skuteczność tej obrony zależy nie tylko od wytworzenia silnego, zorganizowanego zrzeszenia myśliwych, ale i od podniesienia myśliwstwa w każdym jego dziale. Im bardziej bowiem będzie ono zbliżone do doskonałości, tem skuteczniej będzie się opierało wszelkim ujemnym skutkom nowej ustawy. To też najbliższe nadzwyczajne Walne Zgromadzenie powinno nie tylko omówić kwestję organizacji Towarzystwa łowieckiego, ale i zająć się sprawą zaspokojenia potrzeb naszego myśliwstwa.



Korespondencje.

Dnia 7. i 28. września odbyły się obławy na dziki w Łuce n. Dn. pow. Horodenka. Na pierwszej obławie zabito dwa, na drugiej jednego dzika, 2 lisy i słonkę. Prócz tej, widziano jeszcze kilka słonek. Widocznie ciąg słonek się rozpoczął.

Dnia 27. sierpnia widziano słonkę w Żukowie pow. Horodenka, ta jednak prawdopodobnie wylęgnięta w „domu“. Pierwsze ciągnące na południe żórawie widziałem 18-go września, 23-go gęsi. *W. S.*



Kronika.

Centralny Komitet I. międz. wystawy łowieckiej w Wiedniu przysyła nam komunikat z prośbą o umieszczenie.

Międzynarodowa Wystawa łowiecka. W niedzielę dnia 16. października r. b. zamknięta zostanie Pierwsza międzynarodowa wystawa łowiecka w Wiedniu. Do połowy września zwiedziło wystawę dwa miliony osób, co przeciętnie daje frekwencję 15.000 osób dziennie; cyfra to ogromnie wielka, jeśli się zważy, że pogoda była bardzo niekorzystną.

Protektor wystawy, cesarz Fraciszek Józef I odwiedził wystawę 8 razy. Cesarz Wilhelm raz jeden bawił na wystawie. Trzykrotnie odwiedził wystawę król szwedzki Gustaw. Nadto zwiedzili wystawę król saski Fryderyk August, król bułgarski Ferdynand, wszyscy członkowie panująceco domu austryjackiego i szereg książąt zagranicznych.

W ramach wystawy łowieckiej urządzono szereg wystaw chwilowych, z których każda znakomicie się powiodła. Na pierwszem miejscu wspomnieć należy o wystawach koni, których było sześć, nadto odbyła się międzynarodowa wystawa trofeów myśliwskich, wystawa psów, drobiu, królików etc. W ciągu lipca odbyło się międzynarodowe strzelanie zawodowe do gołębi (glinianych, wyrzucanych specjalną maszyną); Zawody te gromadziły wybór strzelców z monarchji i zagranicy. Komitet wystawowy urządził również szereg festynów. Punktem kulminacyjnym był hołd ludności wiedeńskiej z okazji 80 letnich urodzin monarchy. W kinematografie wystawowym oglądać można było wyborne zdjęcia wielkich łowów wszystkich żyjących monarchów.

Cesarz Wilhelm w oddziale galicyjskim na Wystawie łowieckiej w Wiedniu zabawił czas dłuższy i żywo naszemi trofeami się interesował. Oprowadzał go szef sekcji ministerstwa rolnictwa, p. Wacław Zalewski. Szczególnie zaimponował cesarzowi olbrzymi niedźwiedź, ubity przez ś. p. Andrzeja hr. Potockiego, jak również rożki sarnie hr. Stanisława Mycielskiego, które dłuższy czas podziwiał.



Sprawy Towarzystwa.

W poczet członków Gal. Towarzystwa łowieckiego wpisali się w dalszym ciągu, za sprawą pp. Dawidowicza, Gürtlera i Wybranowskiego pp.:

Kędzierski Stanisław, Oryluk Piotr. Stuckart Jan, Towarzystwo myśl. w Brzeżanach.

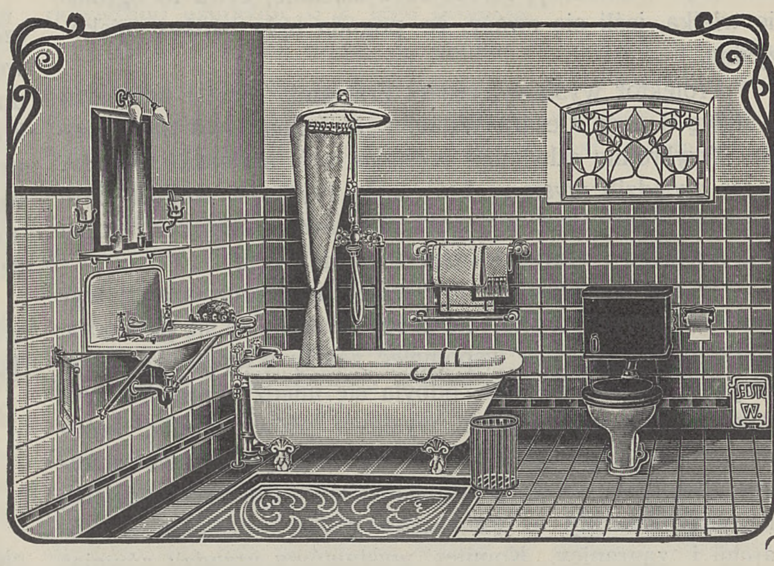
Wobec niesłychanej obojętności znacznej liczby P. T. członków, z jaką nad przypomnieniami z tego miejsca, nawołującemi do uiszczenia zaległych wkładek — przechodzą do porządku, gotowe zaś przekazy — doręczone im trzykrotnie już w tym roku celem ułatwienia przesyłki, — wrzucają snać do kosza, Wydział Towarzystwa postanowił wezwać niniejszem dotyczących członków jak najusilniej do uiszczenia zaległych wkładek, w terminie do końca października.

W przeciwnym razie nastąpi wstrzymanie dalszej wysyłki „Łowca“, ściągnięciem zaś wkładek zajmie się syndyk Towarzystwa. *Wydział Towarzystwa.*

Odpowiedzi Redakcji.

P. E. W. Lwów.

Żołna, czyli szurka pszczołojadka (Meropas piaster) nic nie ma wspólnego z dzięciołami, fałszywie żołnami zwanymi. Należy do familji żołn (Meropidae), a do rzędu parzystopalczastych (Insessores), do którego z naszych ptaków należy jeszcze kukułka, kraska, zimorodek i wilga. Szurka jest ptakiem u nas rzadkim, częściej na Podolu i Ukrainie spotykanym, gdzie z południa zalatuje. Jest jednym z najozdobniejszych naszych ptaków krajowych, mniejsza nieco od szpaka, ma wierzch głowy i karku rdzawo kasztanowaty, czoło i spód błękitno seledynowe, podgardle żółte, skrzydła i ogon oliwkowo zielone. Charakterystyczną cechą żołny, po której łatwo ją poznać są dwie środkowe sterówki o cal od od innych dłuższe, nadające piękny, oryginalny kształt ogonowi.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny **Albert Mniszek.**